XXIII OGÓLNOPOLSKI TYDZIEŃ BIBLIOTEK

8–15 MAJA 2026

NAPISZMY TO RAZEM – AKCJA ONLINE

ZESPOŁOWE PISANIE KSIĄŻKI, KTÓRĄ ZAINICJUJE **JUL ŁYSKAWA**

22.04 – 8.05
FACEBOOK

SZCZEGÓŁY AKCJI NA STRONIE
WWW.BIBLIOTEKA.SOSNOWIEC.PL

SBP Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich
Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu
Sosnowiec
Projekt dofinansowany ze środków Urzędu Miejskiego w Sosnowcu

Jul Łyskawa: POSŁUCHAJ

– Gdzieś to już widziałem – pomyślał Wokulski, zbudziwszy się z późnej drzemki, zlany potem, jakby śniły mu się potwory, a nie posadzkarz o bladym karku pokrytym grubymi kroplami potu, klęczący w sieni domu na Żytniej 16 z firmowym kafelkiem w dłoniach. – Nie! Gdzieś to już czytałem!

Senna mara, chociaż w istocie swej mało upiorna, nie chciała opuścić przebudzonej głowy, na jawie wciąż wołając o atencję, niczym seryjny morderca rozsyłający listy z pogróżkami na policję i do prasy. Wokulski zerwał się z łóżka i jął przeczesywać zbiory domowej biblioteczki kierowany nie tyle przekonaniem, co nieodgadnionym impulsem. Nie miał pewności, czego szuka, wiedział za to bez dwóch zdań, że tego nie znalazł. Rozgorączkowany dreptał tam i z powrotem, chcąc zająć umysł zwykłymi czynnościami, aby pobudzić podświadomość. Zdmuchnął kłębek kurzu z etażerki – nic. Przepłukał twarz wodą – nic. Wsunął stopy w ciepłe kapcie – nic. Zbliżywszy się do szafki nocnej, machinalnie sięgnął po telefon. Na ekranie wyświetliła się godzina: 18:30. Jeśli pamięć nie płatała mu figla, do zamknięcia miał jeszcze półtorej godziny. Chwycił płaszcz i nie tracąc więcej czasu, zadowolony z nawyku drzemania w spodniach, wybiegł z mieszkania w kamienicy na Małachowskiego i ruszył szybkim marszem w kierunku Zagłębiowskiej Mediateki.

Listopadowy wieczór – ciemny, wietrzny i deszczowy – potrzebował pięciu sekund, aby z chłodną stanowczością zasugerować albo konieczność rozszerzenia drzemkowej garderoby o sweter, albo zaniechania w przyszłości bezmyślnych zachowań. Chociaż sweter – pół biedy.

Plusk! Plask! Plach!

Za skrzyżowaniem Kościelnej z Sienkiewicza Wokulski zatrzymał się i z politowaniem pomyślał o samym sobie, gdy doszło do niego, że przed wyjściem z domu nie zmienił obuwia. Stał tak w deszczu, spoglądając na przemoczone bambosze, gdy w kałuży tuż obok zamigotał szamoczący się kształt, oświetlony czerwonym blaskiem świateł pozycyjnych mijającej go furgonetki. Z każdą sekundą obserwacji do świadomości Wokulskiego dobijała się trudna prawda, co w rzeczywistości ów kształt sobą przedstawiał. Była to mianowicie ryba.

Spora ryba.

Ryba w kałuży.

Żywa ryba.

– To ryba! – zakrzyknął Wokulski.

– A dokładniej sum – poprawiła go ryba, strzygąc wąsem. – Jestem sumem.

Wokulski przełknął ślinę.

– Tak, tak. Gadająca ryba, nie do wiary. Za chwilę cofniesz się o krok, stopa ugrzęźnie ci w wyrwie w chodniku, zachwiejesz się, lecz nie upadniesz i odbiegniesz przerażony.

Wokulski cofnął się o krok, stopa ugrzęzła mu w wyrwie w chodniku, zachwiał się, lecz nie upadł, ale też nie odbiegł. Rozejrzał się niepewnie, wydostał z wyrwy obutą w bambosz nogę i podszedł ostrożnie do suma.

– Ciekawe – mruknął sum. – Wręcz niespotykane. Skoro nie uciekłeś, pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Szymon. Sum Szymon. Powiedziałbym, że bardzo mi miło, ale biorąc pod uwagę moją ubolewania godną sytuację, byłoby to kłamstwem, a kłamstwami się brzydzę.

– Wokulski – odparł mężczyzna. – Stanisław Wokulski.

– Też ładnie. Będziesz tak stał i się gapił, czy pomożesz mi się stąd wydostać?

Piotr Karendał: POSŁUCHAJ

Choć prośba wydała się całkiem logiczna, z jej spełnieniem wiązał się szereg trudności.

- A możesz oddychać bez wody?

Byłoby bardzo niefortunnie, gdyby uśmiercił jedyny na świecie gadający egzemplarz suma przez zignorowanie podstawowych praw biologii.

- Nie wiem – wzruszył wąsami – nigdy nie próbowałem.

Bezpieczniej było zatem przyjąć, że nie mógł.

- Jak się tu znalazłeś?

- A dlaczego wyszedłeś na dwór w kapciach? Po prostu czasem tak wychodzi i nie ma sensu się dłużej nad tym zastanawiać.

Fakt. Czasami po prostu tak *wychodziło*.

- I słuchaj, na co dzień uwielbiam bawić się w „100 pytań do...", ale najpierw naprawdę powinniśmy skupić się na meritum sprawy.

- No dobrze. Zaczekaj tutaj.

Odszedł kilka kroków, czując jak wilgoć i chłód listopadowego wieczora powoli zaczynają wwiercać się w stopy, promieniując aż do wysokości kolan.

Musiał działać szybko, gdyż jego układ odpornościowy z całą pewnością pracował już na pełnych obrotach i tylko kwestią czasu było, kiedy ogłosi strajk generalny.

Najlepiej byłoby odnaleźć sklep akwarystyczno-obuwniczy, ale wobec tego, że nikt jeszcze nie wpadł na ten genialny pomysł na biznes na całej ulicy Kościelnej oraz prawdopodobnie także w Sosnowcu, Wokulski musiał polegać na tym, co znajdowało się w okolicy.

Najbardziej wyspecjalizowanym w rybach przybytkiem była pobliska restauracja sushi, lecz raczej nie o taką specjalizacje tutaj chodziło, a nawet jeżeli dysponowali jakimś akwarium, to wątpliwe było, aby zechcieli je pożyczyć.

Trzeba było zatem improwizować.

Zmieniwszy gwałtownie kierunek marszu, Wokulski postanowił zawrócić w kierunku skrzyżowania Sienkiewicza z Kościelną i udać się do sklepu spożywczego. Miał już w głowie gotowy plan, trzeba było tylko przekonać do niego subiektkę.

- Proszę podgrzać do stanu ciekłego – położył na ladę kilogramowe opakowanie z lodem w kostkach.

Okazało się, że niekompletność garderoby miała pewne zalety.

Dziewczyna bez słowa komentarza wzięła od niego towar, po czym umieściła go w piecu służącym do podgrzewania zapiekanek i pizzy.

Faceci w bamboszach należeli najwyraźniej do osób, z którymi nie polemizowała.

- Wezmę też dwie plastikowe reklamówki – zadecydował, gotowy przyznać sobie order mistrza surwiwalu za rozwiązanie problemu obuwia.

- Wskakuj – polecił Szymonowi, kiedy z powrotem znalazł się przy kałuży.

Mina suma wyraźnie sugerowała, że nie identyfikował się jako delfin, ale posłusznie spełnił prośbę, całkiem zgrabnie pakując się do worka z wodą.

- Dzięki. A teraz w drogę!

Piotr Karendał:

Istniało, co prawda, pewne prawdopodobieństwo, że ich destynacja pozostawała zbieżna, lecz od niefortunnej przygody z piękną Izabelą, Wokulski prezentował postawę, którą sam określał jako krytyczno-sceptyczną.

- Słuchaj, mam już pewne plany na dzisiaj – próbował pozostać stanowczy.

- Stachu, no weź mi tego nie rób... - rybie oczy przybrały błagalny wyraz.

- Po prostu odniosę cię do Egzotarium. Tam się tobą zajmą.

Wystarczyło przejść kilkaset metrów na 3 Maja, a stamtąd złapać cokolwiek zdążającego w tamtym kierunku.

- Ale ja nie chcę do Egzotarium!! – nie wiedział dokładnie, ile wynosi długość życia suma, ale nabrał przekonania, że trafił mu się akurat czterolatek.

Rozwydrzony.

Czując, że Szymon rozgrywa go niczym nieuczciwy telemarketer namawiający emeryta na pokaz garnków aluminiowych, głęboko westchnął.

- To gdzie chcesz? Ale ostrzegam. Limit to dwie dychy na Uberze.

Cokolwiek Wokulski akurat zamierzał, musiało poczekać.

- Powiem ci to w konfidencji, więc nie mów nikomu.

Nie było może tak, że zostałby wyśmiany, ale gdyby na serio próbował przekonać kogoś ze znajomych, że w kałuży spotkał suma, który poprosił go o pomoc, z całą pewnością spotkałby go ostracyzm towarzyski.

- Powiadają, że ryba psuje się od głowy, a ja przybyłem tu właśnie po to, aby temu zapobiec.

- Aha.

Oprócz tego, że nie wyjaśniało to absolutnie niczego, w sumie nie było bardziej absurdalne niż to, czego do tej pory był świadkiem.

- Nie wierzysz mi?

Nie chodziło tu raczej o kwestie związane z wiarą.

Nie czekając na odpowiedź, sum wydał z siebie serię niepokojących bulgotów połączonych z dość spazmatycznymi wygibasami.

Wbrew przerażeniu Wokulskiego nie obraził się jednak śmiertelnie i nie postanowił zejść z tego świata, a cała ta ekwilibrystyka służyła wypluciu niewielkich rozmiarów kluczyka.

- Posłuchaj Stachu – mógłby przysiąc, że, niczym człowiek, Szymon z trudem łapał oddech – gdyby coś mi się stało, zapamiętaj ten adres – Żytnia 16. Jest tam skrzynka pocztowa.

Niepokojąco znajoma lokalizacja nie zdążyła jeszcze wybrzmieć w jego umyśle, kiedy za plecami usłyszał nieprzyjemny wrzask.

Cóż, brzmiało to zupełnie tak, jak wyglądało.

Odziany w coś na kształt kimona, łysiejący mężczyzna z białą opaską przewiązaną na czole, z wyrazem najdzikszej furii na czerwonej twarzy, biegł w ich kierunku.

Choć zdarzało mu się pojedynkować w młodości, tym razem od razu zdecydował, że ucieczka będzie najlepszym rozwiązaniem.

Adwersarz, oprócz niezachwianego ducha bojowego, dzierżył także dwa długie noże do filetowania ryb.

Piotr Karendał:

Jeżeli liczył, że Szymon, wzorem *Czarodziejki z Księżyca*, przemieni się w magicznego wojownika i jednym ciosem ukróci zakusy agresora, to należało powoli wykreślić tę opcję z listy możliwych zdarzeń.

- W nogi! – ryknął sum, przekonując Wokulskiego, iż nie posiadał żadnych dodatkowych zdolności ofensywnych.

Trzeba było przyznać, zrobił to w samą porę, gdyż noże napastnika w zawrotnym tempie przesuwały się niebezpiecznie blisko tkanek miękkich Stanisława.

Właściwie...

Szybkie podstawienie danych do wzoru na ruch jednostajnie przyspieszony oraz obrotowy doprowadziły go do graniczącego z pewnością przekonania, że nie zdąży uniknąć przynajmniej jednego ciosu.

Dlatego też uczynił to, co prawdopodobnie każdy przeciętny człowiek w jego sytuacji.

Stanął w miejscu unosząc do góry prawą nogę, starając się jednocześnie zasłonić dłońmi najbardziej wrażliwe części, co sprowadzało się do ich panicznej wędrówki po całym ciele.

Nie mając już dłużej odwagi na mierzenie się z nieuniknionym, zamknął oczy, pokornie czekając na koniec.

Ten jednak, jakimś cudem, nie nastąpił, dlatego też, z pewną dozą zawahania, postanowił je otworzyć.

Na podstawie tego, co zobaczył, można było wysnuć pewne wnioski.

Po pierwsze, mężczyzna nie był sadystą czekającym na to, aż ofiara na niego spojrzy.

Po drugie, biorąc pod uwagę wydobywające się z jego ust jęki oraz ogólne ułożenie ciała, musiał zrobić krok do przodu, stopa ugrzęzła mu w wyrwie w chodniku, zachwiał się i wyłożył jak długi.

Pozostawiając samarytanizm Samarytanom, na tyle, na ile tylko pozwalało profilaktyczne obuwie wykonane z plastikowych reklamówek, bacząc podczas tej czynności, żeby przy okazji nie rozlać po drodze zbyt wiele wody, Wokulski puścił się biegiem wzdłuż ulicy Sienkiewicza, w kierunku najbliższego przystanku autobusowego.

Szczęście po raz kolejny mu dopisało. Właśnie podjeżdżała tam 106.

Niewiele myśląc, wskoczył do środka, a gdy tylko drzwi pojazdu zatrzasnęły się, usiadł ciężko na jednym z wolnych miejsc, z trudem łapiąc oddech.

Dotlenienie mózgu wyraźnie pomogło, ponieważ ze zgrozą uświadomił sobie, że linia ta, nie tyle zmierza przecież w kierunku niedoszłego mordercy, co dosłownie zakręca w Kościelną by wysadzić pasażerów zdążających do Mediateki.

Czując wyraźnie postępujące oznaki zawału, wyjrzał przez okno, lecz mężczyzny już tam nie było.

Pozostała tylko wyrwa w chodniku.

Nie zdążył jeszcze zrzucić kamienia z serca, gdy, ktoś klepnął go w ramię.

- Bileciki do kontroli – zażądał nieznoszący sprzeciwu głos.

Piotr Karendał:

Choć w gruncie rzeczy wydarzenie było zaskakujące, niczym zdemaskowanie profesora Rafała Wilczura w Wielkanoc, to Wokulski był na nie dramatycznie nieprzygotowany.

- Jeszcze nie skasowałem – z wielu możliwych opcji postanowił wybrać tę, która najlepiej oddawała stan faktyczny, mając jednocześnie nadzieję, że subtelne nawiązanie do trybu przyszło-przypuszczającego, pozwoli jakoś wywinąć się z sytuacji – ale zamierzałem!

Niestety, musiał natrafić na egzemplarz zupełnie odporny na tego typu subtelności, gdyż kanar spojrzał na niego z politowaniem.

- Ale tak cię wciągnęły widoki, że zapomniałeś? – zakpił.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bliski był prawdy.

Aczkolwiek, z jakiegoś zupełnie nieuzasadnionego powodu, Stanisław niespecjalnie był skory do referowania zaszłości z nożownikiem-fileciarzem.

- Będzie mandacik. Kredytowany, czy na miejscu?

- Ile? – dobry strateg nie rozpoczynał wojen, których nie mógł wygrać.

- Tak się składa, że... - wzrok kontrolera niespodziewanie powędrował w kierunku torby po lodzie – a niech stracę!

Natura tej straty nie była na tyle intrygująca, aby o nią zapytać.

- Dajesz mi rybkę i zapominam o sprawie, co ty na to?

Prekognitywne ukłucie, do złudzenia przypominające pajęczy zmysł, przetoczyło się przez ciało Wokulskiego.

- Stachu, nie zgadzaj się.

Z jakiegoś powodu mężczyzna zupełnie nie zdziwił się gadającą rybą.

- Oferta nie będzie trwała wiecznie, więc radzę skorzystać – stwierdził dobitnie.

Coś się tu wyraźnie nie zgadzało. Nigdy nie widział aby przyjmowano zapłatę w postaci barteru.

- Chcemy zobaczyć twoją legitymację – zażądał sum.

- Właśnie – niemalże natychmiast poparł go Wokulski, rozglądając się jednocześnie po wnętrzu pojazdu.

Choć kontrolerzy zazwyczaj chodzili parami, wszystko wskazywało na to, że tym razem trafił im się pojedynczy egzemplarz.

- Przywłaszczanie funkcji publicznej jest karalne, koleżko – trzeba było przyznać, Szymon wytoczył ciężkie działa – więc lepiej stąd spadaj, zanim wezwę policję.

Być może dyskusyjnym pozostawało w jaki sposób dokonałby zawiadomienia, ale nie należało zdradzać się z takimi wątpliwościami przebierańcowi.

- Po prostu wysiądź na następnym przystanku i zapomnę o sprawie – starając się wyglądać jak Bogusław Linda w „Psach”, Stanisław wskazał na drzwi.

Być może też nieco inaczej dobrał słowa.

Ku jego zdziwieniu, mężczyzna nie oponował. Kiedy tylko pojazd zatrzymał się na przystanku, posłusznie podążył do wyjścia.

- Ta ryba sprowadzi na ciebie kłopoty. Zastanów się lepiej, czy warto – rzucił na odchodne.

Karolina Domagała:

Wokulski wysiadł na „Patelni" i odruchowo poprawił worek z Szymonem, starając się ignorować spojrzenia przechodniów, których przyciągał szelest jego prowizorycznego, foliowego obuwia. Deszcz nie ustawał, a plac Stulecia, spowity wieczorną mgłą, wydawał się sceną wyjętą z sennego koszmaru.

W samym środku tego chaosu wyrastał Jan Kiepura – monumentalny, odlany w brązie tenor, który z dumnie uniesioną głową zdawał się ignorować listopadową pluchę. Postać w rozwianym płaszczu, uchwycona w pół kroku, biła pewnością siebie, która w tej chwili była Wokulskiemu zupełnie obca.

— Widzisz go, Stachu? — zabulgotał Szymon, wystawiając pyszczek ponad krawędź reklamówki. — On śpiewa dla świata, a ty stoisz tu w workach po lodzie. Gdyby Janek wiedział, kogo dziś gości pod swoim pomnikiem, pewnie sam by zaniemówił.

— Kiepura miał głos, który otwierał wszystkie drzwi. Ja mam tylko rybę w torbie i mokre kapcie — mruknął Stanisław, omijając monument. — Do Żytniej 16 jeszcze kawałek, a moje „buty" zaczynają nabierać wody.

Gdy ruszyli w stronę mroczniejszych uliczek, z cienia jednej z kamienic wyłoniła się wysoka, nieco przygarbiona postać w długim, ciemnym płaszczu. Mężczyzna miał siwe, lekko zmierzwione włosy i twarz pooraną bruzdami, które zdawały się układać w mapę nieopowiedzianych historii. W ręku trzymał starą, sfatygowaną teczkę, z której wystawały luźne arkusze papieru zapisanego drobnym, gęstym pismem.

Wokulski, chcąc uniknąć zderzenia, uskoczył w bok, co wywołało głośny mlask folii o bruk. Nieznajomy zatrzymał się i spojrzał najpierw na nogi Stanisława, potem na torbę z sumem, aż w końcu utkwił wzrok w jego oczach. Było w tym spojrzeniu coś przenikliwego, co sprawiało, że Wokulski poczuł się jak bohater literacki przyłapany na błędzie w scenariuszu.

— Widzę, że pan również uprawia surrealizm codzienny — odezwał się starszy mężczyzna głosem niskim i szorstkim jak stary pergamin. — Ryba wędrowna i człowiek w pancerzu z polietylenu. Piękna, choć bolesna metafora kondycji ludzkiej.

— To… to tylko przejściowe kłopoty — wykrztusił Wokulski.

— Kłopoty są esencją literatury pięknej, proszę pana. Bez nich bylibyśmy tylko nudnym przypisem — nieznajomy uśmiechnął się smutno, poprawiając teczkę. — Spieszę się na spotkanie w Mediatece, czytelnicy czekają na opowieści o sensie cierpienia, a ja tu widzę żywy rozdział o poszukiwaniu ratunku. Proszę uważać na Żytniej. Tamtejsze kafelki mają pamięć, której nie da się wymazać gumką.

Mężczyzna skinął głową i ruszył dalej, niknąc w deszczowej kurtynie, pozostawiając po sobie zapach starego tytoniu i atramentu.

— Stachu… — szepnął sum, wyraźnie poruszony. — To był Wielki Pisarz. Czuć było od niego metaforą na kilometr. Jeśli on wiedział o kafelku na Żytniej, to sprawa jest poważniejsza, niż myślałem. Szybciej, zanim deszcz zmyje nam zakończenie tej historii!

Piotr Karendał:

W listopadowym półmroku ulica Żytnia prezentowała się jeszcze bardziej przygnębiająco, niż zdążył to zapamiętać.

Szare kamienice, solidarnie pokryte solidną warstwą wilgoci, zlewały się w jeden, coraz bardziej ciemny punkt i tylko rozjaśnione żarówkami okna przypominały, że gdzieś tutaj toczyło się jeszcze normalne życie.

Aż trudno było uwierzyć, że z miejscem tym kojarzyło mu się tyle wspomnień.

- Nie czas na rozpamiętywanie przeszłości, Stachu – sum, choć prawdopodobnie nie potrafił czytać w myślach, bezbłędnie je odgadnął.

Miał rację. Nie można było poddawać się melancholii.

Świat miał przecież jeszcze tyle do zaoferowania.

Choć zapewne nie ten.

Przynajmniej w promieniu kilometra.

- Wiesz, gdzie masz iść? – upewnił się Szymon.

Wiedział.

I sam ten fakt sprawiał, że miał ochotę wiać stamtąd jak najdalej.

- Może wstąpimy na chwilę? – zaproponował Wokulski wskazując na czynną jeszcze herbaciarnię.

- Dzięki stary, ale od wrzątku trzymam się jak najdalej – zaoponował.

- To może…

- To może zróbmy po prostu, co mamy zrobić i stąd chodźmy – stwierdził stanowczo, jednocześnie przekręcając się w torbie zupełnie tak, jakby nerwowo rozglądał się na boki.

Przesadzał.

Od dłuższego czasu nikt ich już nie śledził i nie wyglądało na to, aby kogokolwiek obchodziło, że na Żytniej pojawił się dziwoląg z rybą w plastikowej torbie.

W sumie nic dziwnego.

Po tym, co uczynił tu ostatnio, mieszkańcy byli najwyraźniej uodpornieni na wszelkiego rodzaju osobliwości.

- Jak chcesz – wzruszył ramionami w geście, który miał podkreślać obojętność, ale zupełnym przypadkiem sprawił, że przez całe jego ciało przebiegł lodowaty dreszcz.

O ile wcześniej można było mieć co do tego pewne wątpliwości, obecnie niemalże pewnym było, że całą tę przygodę przypłaci sowitym zwolnieniem lekarskim.

- Chyba muszę… - nawet on wiedział, że nie można było przeciągać tego w nieskończoność.

- Wejść do środka? – podsunął życzliwie Szymon.

Klatka schodowa oraz majaczący w oddali zarys schodów sprawiały wrażenie jakby od stuleci były pogrzebane w ciemności.

Przez moment próbował namacać gdzieś na ścianie włącznik światła, lecz gdy go znalazł okazało się, że żarówka była przepalona.

Albo też po prostu odcięto prąd.

- Skrzynka – im bliżej było celu, tym sum stawał się coraz bardziej natarczywy.

- Już, już.

Nie musiał nawet pytać, o którą mu chodziło. Przyświecając sobie telefonem, bezwiednie wybrał numer, który gotów był wyrecytować o każdej porze dnia i nocy, włożył w zamek klucz i przekręcił.

- Lalka?! – ukrywanie zdziwienia wyjątkowo mu dzisiaj nie wychodziło.

- Nie zdążył nawet przyjrzeć się zdobyczy, gdy gdzieś na wysokości połowy schodów, usłyszał głos ze swoich najgorszych koszmarów.

- Staszek?

Głos ten należał bowiem do Izy.

Piotr Karendał:

Trzymanie w rękach wyraźnie nadgryzionej zębem czasu porcelanowej laki oraz ryby w opakowaniu po lodzie, nie wspominając o takich atrybutach, jak owinięte w plastikowe reklamówki kapcie, już wystarczająco nadwątlało jego wizerunek, żeby jeszcze dodatkowo kompromitować się zaskoczonym Izowaniem.

Co wcale nie oznaczało, że brak werbalizacji cokolwiek tu zmieniał.

Z racji tego, że zapalenie światła nie stanowiło najwyraźniej aż tak dużego wyzwania intelektualnego dla stojącej przed nim dziewczyny, Wokulski widział ją teraz bardzo wyraźnie. Najpewniej tak samo wyraźnie jak ona jego.

Dlatego też, gdy tylko zorientował się, że gapił się na nią z rozchylonymi na oścież wargami natychmiast postanowił je zamknąć. Już po chwili doszedł do wniosku, że chodziło mu jednak o usta.

Desperacko liczył na to, że tym razem Szymon przyjmie na siebie brzemię rozpoczęcia konwersacji, ale ten złośliwie nabrał wody w usta i wyglądał jak zwyczajny sum w krzywo rozerwanym worku.

A coś takiego W OGÓLE nie poprawiało JEGO sytuacji. Nie chcąc za bardzo mierzyć się z zastaną rzeczywistością, popuścił wodze fantazji i wyobraził sobie wyjące gdzieś blisko syreny alarmowe.

Nie pomogło, ponieważ nieważne, jak bardzo się starał i tak nie był w stanie skoncentrować się na niczym innym niż dziewczyna.

Musiał rozsiewać ten szczególny rodzaj uroku psychopatycznego mordercy, ponieważ Iza, z co najmniej zatroskanym wyrazem twarzy, cofnęła się.

Był to już ostatni moment na powiedzenie czegokolwiek sensownego, ale, jak na złość, jego serce postanowiło akurat udowodnić, że z powodzeniem było w stanie zastąpić *Ringo Starra*.

Suchość w gardle oraz przetaczające się przez niego naprzemienne fale zimna i gorąca także nie pomagały.

Mimo wszystko, należąc najwyraźniej do tych jednostek, które swoją niezłomność objawiały właśnie w chwilach najwyższej próby, Wokulski wziął się w garść, zagonił porozpierzchane myśli wprost do przegródki z napisem „Rozum i godność człowieka” i wydobył z siebie najlepszy znany ludzkości wstęp.

- No cześć – upewnił się, że zabrzmiał odpowiednio luzacko.

Zupełnie tak, jak gdyby wpadał na Żytnią co najmniej cztery razy w tygodniu. Po zmroku. I włamywał się do jej skrzynki pocztowej. Jak zamroczony stalker.

Niestety, nawet postronny obserwator musiałby przyznać, że nie wyglądało to najlepiej.

- Co ty tu robisz, Staszek? – Iza, w przeciwieństwie do niego, nie przejawiała zamiłowania do przesłaniania poważnego zaniepokojenia nonszalancją.

Jakżeby chciał wyznać jej prawdę.

Problem w tym, że sam nie wiedział.

Piotr Karendał:

Coś się tu potężnie nie zgadzało. Chociażby to, że kiedy ostatni raz sprawdzał, na klatce schodowej na Żytniej było całkiem jasno, a tymczasem pomieszczenie, w którym się znajdował tonęło w ciemności.

Co więcej wyglądało na znacznie obszerniejsze niż tamten, dość klaustrofobiczny korytarz. Wraz z powrotem uśpionych zmysłów z coraz większą wprawą rejestrował kolejne nieścisłości.

Jak na przykład fakt, że zamiast stać leżał. Albo też, że nie ściskał już w dłoni wyciągniętej ze skrzynki pocztowej lalki.

- Szymon, Iza, jesteście tu? – spytał niepewnie.

Niestety, ich także nie było.

Nie czując przesadnych przeciwskazań, postanowił zmienić pozycję na nieco bardziej horyzontalną. Coś nieprzyjemnie twardego wbiło mu się w plecy. Dopiero po chwili zrozumiał, że były to metalowe pręty łóżka.

Poczuł także niezbyt przyjemny ucisk w lewym nadgarstku, dlatego też podążył za nim wzrokiem. Kroplówka.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały zatem, że znalazł się w szpitalu.

- Obudził się pan? – nie wiedzieć skąd, wyrosła przed nim pielęgniarka.

Albo też bufetowa z zamiłowaniem do *cosplayu*. Nigdy nie wiadomo.

- Gdzie są…

- Pana przyjaciele? Niestety odwiedziny będą możliwe najwcześniej o 11.

- Ale…

- Niech pan odpoczywa i niczym się nie martwi – nakazała stanowczo – później ktoś do pana przyjdzie.

- Co mi się stało?

- Minorowy *psychotic breakdown*. Proszę się nie martwić. Zdarza się co chwilę w tej rzeczywistości.

Cóż, brzmiało wiarygodnie.

Chciał zapytać o coś jeszcze, ale kobieta w kitlu zniknęła.

Z braku alternatyw postanowił skorzystać z porady. W głębi serca czuł, że chodzenie w bamboszach w listopadowe wieczory właśnie tak musiało się skończyć.

Trudno było określić, ile czasu dokładnie minęło, ale chyba udało mu się zapaść w coś w rodzaju nerwowej drzemki.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, przyszedłem tylko położyć kilka kafelek – wbrew intencjom, zachrypnięty, papierosowy głos wchodzącego mężczyzny na dobre rozbudził Wokulskiego.

Półprzytomnym wzrokiem obserwował plecy klęczącego zaledwie kilka kroków dalej mężczyzny, kiedy wreszcie zrozumiał, co było podejrzane. Na podłodze znajdowało się tylko linoleum.

- Zapalę sobie – stwierdził, po czym nie czekając na zgodę Stanisława wyciągnął paczkę papierosów i zapałki.

Dym nieprzyjemnie drażnił oczy.

- Na Żytniej, co prawda, nie zdążyłem... - spojrzał w jego kierunku niepokojąco błyszczącymi oczami, po czym z gracją ropuchy skoczył w kierunku łóżka.

Nie bardzo wiedząc jak radzić sobie z tego typu atakami, Wokulski stoczył się z łóżka i z łoskotem wylądował na podłodze. Coś twardego wbiło się w jego pośladek.

Niewielki kafelek, przedstawiający sowę otoczoną wieńcem. Jeżeli miało to w czymś pomóc, to nie pomogło.

- Co pan wyprawia?! – zaaferowany własnym upadkiem zupełnie zapomniał o kafelkarzu.

Który został najwyraźniej zastąpiony przez pielęgniarkę.

- Chcę się natychmiast wypisać! – zażądał.

Piotr Karendał:

Dopiero gdy opuścił mury szpitala zorientował się, że znajdował się na ulicy Zegadłowicza. Przymusowy odpoczynek, poza oczywistymi niedogodnościami w postaci utraty Szymona, Izy oraz lalki, miał także dobre strony. Wysuszono mu bambosze, a plastikowe reklamówki pełniące rolę izolacji termicznej uczciwie zwrócono.

Miał także kafelek. Choć chwilowo nie miał pojęcia co mógłby z nim zrobić. Niezależnie też od tego, jak bardzo cenna byłaby to ceramika, jakoś nie potrafił wzbudzić w sobie materialistycznej radości z samego faktu jej posiadania.

Nie dysponował również wiedzą, co dalej począć, dlatego też, ze względu na bliskość lokalizacyjną, jak każdy poszukujący oświecenia, postanowił skierować się do Mediateki.

Ostatecznie to właśnie tam, świeżo wyrwany z drzemki, miał się udać, zanim wplątał się w tę pokręconą historię.

Ta, zgodnie z logiką panującej wszędzie nocy, wyglądała na zamkniętą na głucho.

No, prawie, gdyż wejście na aulę, z jakiegoś powodu, pozostawało lekko uchylone.

Zaintrygowany Wokulski zajrzał do środka i niemalże od razu zauważył siwego mężczyznę w ciemnym płaszczu, który z uwagą studiował jeden z wystawionych tam malunków.

- Czekałem na pana, Stanisławie – uśmiechnął się nie odrywając wzroku od obrazu.

- Myślałem, że miał pan mieć spotkanie...

- Toteż mam – pokiwał w zamyśleniu głową.

- A nie powinno być na nim jakieś... audytorium?

- Spotkanie z samym sobą to najwyższe studium kontemplacji i ascezy wewnątrzświatowej – wyjaśnił – poza tym pisarze teraz cienko przędą i nie wzbudzają już takiego zainteresowania jak kiedyś.

- Aha.

Właściwie to nie znał żadnego pisarza, dlatego musiał uwierzyć mu na słowo.

- Zgubiłem wszystkich – poskarżył się na swój los Wokulski – nawet lalkę.

- Co do lalki, to akurat wiem, gdzie będzie.

- Doprawdy?

- Na maturze – puścił mu oko.

Jeżeli miał to być żart, to raczej ten z gatunku hermetycznych.

- Mam też kafelek – pokazał mężczyźnie swoją zdobycz.

- To bardzo dobrze – pochwalił tamten – czy mogę go sobie zabrać na pamiątkę?

Właściwie nie było przeciwskazań. I tak nie znał się na glazurnictwie.

- Czy on w ogóle coś oznaczał? – zapytał, gdy płytka zniknęła już w kieszeni płaszcza pisarza.

- Owszem – kiwnął głową – ale to zbyt subtelne nawiązanie, aby na poważnie zaprzątać sobie nim głowę.

- Do czego? – był wyjątkowo kiepski w odgadywaniu tego typu rzeczy.

- Do ciebie, drogi Stanisławie – wykonał ruch, jakby zamierzał poklepać go po ramieniu, ale zrezygnował – może przejdziemy się do czytelni?

Propozycja była tak dobra, jak każda inna w jego sytuacji.

- Książka? – zdziwił się Wokulski, gdy już tam dotarli.

- Tak, przygotowałem ją specjalnie dla ciebie. Mógłbyś do niej zajrzeć?

Piotr Karendał:

- To… o mnie? – wyraźnie wstrząśnięty Stanisław miał ewidentny problem z odłożeniem tomu na stolik.

Mimo wszystko udało mu się opanować drżenie dłoni i spoglądał teraz z wyczekiwaniem na towarzyszącego mu mężczyznę. Powodów jego wzburzenia było dość wiele. Przede wszystkim nikt nie zapytał go o zgodę, co prawdopodobnie samo w sobie stanowiło naruszenie prawa.

Najważniejsze było jednak coś innego. Choć razem z bohaterem powieści dzielili to samo imię, nazwisko, a nawet wygląd, autor opisał tu zupełnie inną, obcą mu osobę.

I choć nie potrafił jednoznacznie określić, czy tamten Wokulski mu się podobał, czy też było w nim coś odpychającego, nie mógł nie zauważyć, że łączyło ich tylko jedno.

Niezbyt spełniona miłość do Izabeli.

- Czy… ktoś mnie śledził? – cóż, skojarzenia z The Truman Show nie były w tej sytuacji całkowicie bezpodstawne.

- Och, nie – pisarz posłał mu smutny uśmiech – to po prostu twoja prawdziwa historia, Stanisławie.

Zaraz, zaraz.

Czy to znaczyło, że ON był NIEPRAWDZIWY?

Z jakiś zupełnie nieznanych powodów, zamiast wyśmiać tę hipotezę, Wokulski nie mógł wyrzucić z głowy jej nieznośnie powtarzającego się echa.

- Ale… przecież… - przez dłuższą chwilę próbował ubrać chaotyczne myśli w słowa – ja tu jestem. Stoję przed panem.

Nie było chyba lepszego dowodu na to, że istniał niż jego fizyczna obecność, a także dostęp do wszystkich znanych ludzkości zmysłów.

- Tak – zgodził się niechętnie starzec – to prawda. Ale nie powinno cię tu być. Zagubiłeś się i zszedłeś ze ścieżki, która została ci przeznaczona.

Co za bzdury.

A kto w tych czasach NIE był zagubiony?

- Niby przez kogo? – coraz bardziej zdając sobie sprawę z tego, że mężczyzna nim manipuluje, odzyskał odrobinę hardości.

- Przez AUTORA, drogi Stanisławie. Nie powinieneś sprzeciwiać się jego woli.

- Dlaczego?

- To chyba oczywiste? Bo on chce dla ciebie jak najlepiej.

Guzik prawda.

Nie mogąc się powstrzymać zajrzał na ostatnie strony powieści.

Wcale nie skończyła się dobrze.

Chodziło tylko o poklask publiki.

- A co z całą resztą? Byli tu, bo autor tego sobie zażyczył?

- Chodzi ci o wszystkie indywidua, które spotkałeś po drodze? Cóż – prychnął – część chciała ci pomóc, a część wręcz przeciwnie.

- A ty?

- Myślę drogi Stanisławie, że doskonale wiesz.

Wiedział. I wcale mu się to nie podobało.

- Czego chcesz? – odpowiedź prawdopodobnie nie będzie miła, ale nie należało przeciągać takich konwersacji w nieskończoność.

- Żebyś wrócił tam, gdzie twoje miejsce. To chyba niewiele?

Nie. To stanowczo za wiele.

- A jeśli się nie zgodzę, zmusisz mnie?

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy – uniósł ręce w przepraszającym geście – to musi być twój wybór.

Wolna wola…

- To jak będzie?

Piotr Karendał:

Odpowiedź nie była wcale tak oczywista, jak jeszcze przed chwilą mu się wydawało.

Nawet on musiał przyznać, że uporządkowany, z góry zaplanowany świat, w którym nie musiał się o nic martwić, ani też podejmować żadnych trudnych decyzji był podejrzanie kuszący...

Czy wolność nie była czasem przereklamowana?

Nawet jeśli tu zostanie i tak nie będzie mógł robić tylko tego, na co miał ochotę. Chcąc nie chcąc, jeżeli zdecyduje się żyć w tej rzeczywistości, będzie musiał się dostosować do panujących praw.

Czy zatem to aż tak bardzo różniło się od wypełniania woli autora?

- Masz rację, Stanisławie. Zawsze jest jakiś autor – uśmiechnął się pisarz – po prostu nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę.

- A co jeżeli autor chciałby żebym był wolny?

- Zapewniam cię, mój drogi, że żaden autor tego nie chce.

- Dlaczego?

- Bo jego twór zacząłby żyć swoim życiem i utraciłby na nim kontrolę. A to niedopuszczalne.

- A Szymon? Spotkam go jeszcze kiedyś?

Co do tego, że jeszcze nie raz natknie się na Izę nie miał akurat najmniejszych wątpliwości.

- Nie – uciął mężczyzna – on już powrócił, tam gdzie chciał.

- Kim on właściwie był?

- Cóż – uśmiechnął się – ten sum wąsaty to ponoć znakomity matematyk.

Wokulski westchnął. Jego towarzysz miał zaskakująco irytujący zwyczaj rzucania zupełnie niezrozumiałych aluzji.

- Sam widzisz, że masz problem z podejmowaniem decyzji – trzeba było przyznać, cios był nad wyraz cenny – po co zatem ryzykować?

Miał rację. Decydowanie o własnym losie było wybitnie uciążliwe.

- Więc może zatem...

Tak, więc może zatem...

- Ani kroku dalej, starcze! – nic tak nie oczyszczało atmosfery, jak próba otwarcia drzwi kopniakiem.

Nawe jeżeli zrobienie tego na rozsuwanych drzwiach było z góry skazane na porażkę.

Gdy niespodziewanie objawiająca swoją obecność postać uporała się już z zaakceptowaniem ogólnych zasad kierujących materią, Wokulski mógł się jej bliżej przyjrzeć.

- Staszek, nie słuchaj tego mąciciela! – stała przed nim bez wątpienia Izabela.

- Odbiegasz od swojej roli, moje dziecko – staruszek pogardliwie wydął usta.

- I nigdy nie czułam się z tym lepiej – prychnęła dziewczyna.

Rzeczywiście. On także przecież nie musiał spełniać niczyich oczekiwań. Wystarczyło po prostu żeby był sobą.

A reszta prawdopodobnie się jakoś ułoży.

Albo i nie.

Ale przynajmniej będzie można wszystko psuć i naprawiać tak długo, jak tylko ma się na to ochotę.

Czując, że decyzja została już podjęta, zamierzał właśnie ją zakomunikować, ale nie zdążył.

Zaakceptowanie faktu, że znowu stał na klatce schodowej kamieniczki na Żytniej przyszło mu zaskakująco łatwo.

Nawet jeżeli tym razem nie trzymał w ręku plastikowego opakowania z gadającym sumem.

Stojąca przed nim dziewczyna nadal wpatrywała się w niego badawczo.

Ale teraz wiedział przynajmniej, co miał jej powiedzieć.

- Słuchaj, może pójdziemy na herbatę? – zaproponował.

Zawsze był to jakiś początek.